

Biegł najszybciej jak potrafił. Ciężkie buty uderzały o mokrą nawierzchnię wytwarzając charakterystyczny chłopot niosący się echem wzdłuż ulicy. Tysiące drobnych kropeł rozbryzgujących się przy każdym kroku odbijało wykrzywione w odpychającym grymasie twarze odzwierciedlające tylko jedno pragnienie - dopaść ofiarę, zatopić zęby w jej ciele i choć na krótką chwilę zagłuszyć wszechogarniające uczucie niezaspokojenia przeszywające każdą komórkę ciała.

Hordy jęczących kreatur biegły Marszałkowską rozlewając się w mniejsze uliczki, wypełniając je niczym zatruta woda. Odrażający fetor ciał i zgniłych oddechów wyczuwalny był coraz wyraźniej. Zbliżały się. Porozrzucane wraki samochodów, szkło, żelastwo i szmaty układały się w osobliwą mozaikę barw i odcieni ozdabiającą osiedla martwego Rzeszowa. Wilgotne powietrze, mżawka i gęsta zawiesina powulkanicznego osadu utrzymująca się nieprzerwanie od czasów wielkiego kataklizmu pogarszały widoczność.

Uciekający przed dziką furią ostatni mieszkaniec miasta nie zauważył metalowego pręta, który jakby na złość sprzymierzył się z napastnikami i pojawił tuż przed jego nogami. Przez chwilę próbował walczyć, zamortyzować upadek rękoma, jednak brutalna siła bezwładności wzięła górę. Runął na ziemię lądując w samym środku wielkiej kałuży mieniającej się wieloma odcieniami błota.

Leżąc w brudnej mazi słyszał zbliżającą się wielkimi krokami zarazę. Tupot setek nóg stawał się coraz wyraźniejszy. Na domiar złego odgłosy wydawały się dobiegać ze wszystkich stron, cuchnąca masa schowana w zaułkach wyczuła zdobycz i wypelzła jak robactwo wabione zapachem rozkładającego się mięsa. Uniósł twarz ponad brunatną breję i zmarł z przerażenia. Fala zarażonych odcięła drogę ucieczki. Podniósł się z mozołem i niewiele zastanawiając wbiegł w bramę starej kamienicy pamiętającej jeszcze czasy sprzed Armageddonu. Uciekając drewnianymi schodami przeskakiwał po dwa stopnie przystając na piętrach i sprawdzając czy zakażeni podążają jego tropem. Jakże złudna jednak była jego nadzieja, że stracą ślad i porzucą tak łakomy kąsek. Wchodził coraz wyżej, przed oczami przesuwaly się obrazy pustych mieszkań i rozrzuconych przedmiotów codziennego użytku, zostawionych przez mieszkańców uciekających w popłochu przed zakażonymi. Myśliwi kroczyli tuż za nim wydając z siebie przerażające odgłosy. Dotarł na ostatnie piętro kamienicy i desperacko rozglądał się w poszukiwaniu drogi ucieczki. Jego wzrok zatrzymał się na niewielkim włączniku prowadzącym na dach. Wspiął się po szczeblach i uniósł klapę. Wydostał się na górę i zatrzasnął za sobą właz licząc po cichu, że powstrzyma ich to choć przez chwilę. Krótkie oględziny dachu wystarczyły by odkrył, że znalazł się w pułapce bez wyjścia. Żadnych szans na ratunek. Nawet przysłowiowej brzytwy, której tonący mógłby się w takiej chwili uchwycić. Pogodzony ze swoim losem stanął na gzymsie. Zwrócony tyłem w kierunku przepaści prowadzącej na brudną ulicę obserwował klapę i czekał, kiedy wyleje się z niej potok zarażonych. Wyciągnął broń z kabury i ze smutkiem stwierdził, że pozostała w niej ostatnia kula. Huk wieka uderzającego o dach był sygnałem, by przyłożyć lufę do skroni.

Nie dam wam tej satysfakcji - pomyślał i nacisnął spust. Przez kilka chwil czuł się zwycięzcą, przepelniony szczęściem, jakiego dawno już nie doświadczył. Bezwładne ciało jak ptak szybowało w przestrzeni, nagle z brutalną siłą zawadziło o wystający ze ściany uchwyt na flagę. Niczego już nie czuł, gdy metalowy przedmiot z ogromnym impetem rozdarł mu brzuch ukazując całemu światu jego zawartość. Siła upadku wyrzuciła z otrzewnej bezkształtne fragmenty mięsa i nie strawionego obiadu. Całość udekorowana czerwoną posoką mieniła się kolorami na tle brunatno-szarego asfaltu. Leżał w kałuży, martwym wzrokiem przyglądając się własnym wnętrznościom. Drapieżne bestie stały na dachu kamienicy i podziwiałały widok krwi rozlewającej się wokół ciała i spływającej krętymi cienkimi strużkami do studzienki ściekowej. Życiodajna ciecz spadała w głąb kanalizacyjnej kratki wydając charakterystyczny odgłos kap, kap...

... Kap, kap - ostatnie krople kwaśnego deszczu leciały z dachów na ulicę Łęczyńską tworząc sporych rozmiarów trujące kałuże. Jan Wysocki podążył szybkim krokiem w kierunku komisariatu klnąc pod nosem. Obskurne dzielnice Lublina cuchnące zgnilizną, od lat oświetlane jednie ulicznymi latarniami, po których mieszkańcy snuli się jak trupy, przyprawiały go o mdłości. Kilkuminutowy spacer z domu do pracy pozwalał na obserwację życia miasta, którego tak szczerze nienawidził, jednocześnie dawał chwilę oddechu i zadumy.

Ogień palący się bladym płomieniem w zardzewiałej beczce po ropie wydzielał wystarczająco dużo ciepła, aby ogrzać kilku stojących wokół kloszardów. Ubrani w poobdzierane łachmany z twarzami tak zniszczonymi, że niejedne zwłoki wyglądały przy nich jak oaza tętniąca życiem, popijali ze wspólnej butelki fioletową ciecz skrupulatnie oceniając, czy ktoś nie opróżnił z niej więcej niż było mu przydzielone.

- Witam pana komisaza - krzyknął najwyższy niemal zupełnie pozbawiony zębów, podnosząc do góry coś, co przypominało rękę. - Do pracy? O tak późnej poze?

Panująca wieczna szaruga nie pozwalała odróżnić nocy od dnia, tylko zegar na zamkowej wieży właśnie wskazujący północ, dawał mieszkańcom Lublina poczucie przemijającego czasu.

- Muszę przyskrzynić kilku oprychów, inaczej nie wyrobię tygodniowego limitu - odpowiedział Jan podchodząc do ognia.

- Pan władza się z nami napije, radia posłucha. Wynalazek Gruchy, strasnie kopie - lump podał Wysockiemu butelkę, żalując w głębi serca porcji zmarnowanego trunku.

Policjant pociągnął łyk. Twarz wykrzywił grymas obrzydzenia. Przetarł usta rękawem i poprawił czarną, piracką opaskę zakrywającą oko i fragment zoranego głębokimi bruzdami ropiejącego nosa. - Okropne! - stwierdził. - Co to jest?

- Wywar ze sfermentowanych scurów. Strasnie poniewiera - twarz bezzębnego kloszarda wykrzywiła się w odrażającym uśmiechu przypominającym przedśmiertne konwulsje. - Siada z nami. Praca nie ucieknie. Ogzeje się - zachęcał wyciągając bezkształtne kikuty w kierunku palącego się leniwie ognia.

- Muszę lecieć, schwytaliśmy dwóch zakażonych. Zobaczmy, co uda się z nich wyciągnąć - stwierdził policjant rozglądając się dookoła jak gdyby szukał księżycy, relikwii przeszłości z czasów, gdy powietrze nie było jeszcze wypełnione nieprzeniknionym, obrzydliwym osadem.

- Naprawdę? - zapytał ze zdziwieniem kloszard. - Cy słuchał komisaz dzisiejszych wiadomości? O, właśnie podają kolejne. - Z trzasków ledwie dawało się wyłowić głos spikera.

Zakażeni zdobyli Radom i przemieszczają się większymi grupami w kierunku Warszawy, Lublina i Kielc opanowując po drodze miasta i wioski. Nie wiadomo dalej, jaka jest przyczyna powstania choroby zarażającej mieszkańców Polski. Istnieją przypuszczenia, że wirus powstał jako mutacja kleszczowego zapalenia mózgu wspomaganego dodatkowo wysokim promieniowaniem. Najbardziej prawdopodobną przyczyną rozprzestrzeniania się epidemii jest ugryzienie przez chorego osobnika. W Warszawie zebrała się nadzwyczajna grupa kryzysowa opracowująca sposób dalszego działania i zażegnania problemu. Za godzinę prześlemy kolejne informacje.

- Niedługo tu będą. Zrobicie coś? - z nadzieją w głosie zapytał kloszard w obślizgłej pełnej wesz wólczkowej czapce, nie zdejmowanej z głowy od wieków.

- Schowajcie się. Sytuacja jest poważna - Jan dopiął ostatni guzik płaszcza, postawił kołnierz, odwrócił się na pięcie i odszedł w kierunku komisariatu.

Po drodze przegonił jeszcze dwójkę małych dzieci obgryzających ciało zmarłego nieszczęśnika, który miał pecha wyzionąć ducha na środku ulicy. Kanibalizm nie był niczym nadzwyczajnym, szczególnie w obliczu głodowej śmierci zbierającej swoje żniwo wśród ludności. Dwa strzały z pistoletu oddane w powietrze wystarczyły, aby odpędzić hieny pożywiające się padliną. Nie uciekły pewnie zbyt daleko i

czekają w schronieniu, aż Jan zniknie za rogiem. Wrócą i wbiją ząbki w ciepłe wnętrzości niedokończonego obiadu i pożywiając się nim dadzą sobie luksus przeżycia jeszcze kilku dni.

Wysocki wbiegł do komisariatu, rzucił płaszcz na wieszak i udał się w kierunku sali przesłuchań, gdzie zwykle torturowano nieposłusznych obywateli wyciągając z nich "dobrowolne" zeznania. Po drodze spotkał rozgorączkowanego porucznika Stefana Trybusa, który przysunął się do Wysockiego i szepnął mu do ucha.

- Mamy ich - powiedział to w taki sposób, jakby zdradzał największą tajemnicę państwową.

- Tak, wiem. Chodźmy - odparł stanowczo Jan.

Kiedy przechodzili przez komisariat ich uwagę przykuł awanturujący się otyły mężczyzna. Tłumaczył coś dyżurnemu posterunkowemu, gestykulując energicznie i wylewając z siebie niezrozumiały potok słów, z których dało się wyodrębnić jedynie pojedyncze: ochrona... skandal... zagrożenie... zróbcie coś.

Elektroniczna aparatura niewielkiego pomieszczenia mieniąca się kolorowymi diodami oczekiwała już na wchodzących policjantów. Przez weneckie lustro mogli obserwować przestronną salę, wewnątrz której uwięzionych było dwóch zakazonych. Przykuci do przeciwległych ścian za ręce i nogi klęczeli na podłodze i wpatrywali się pustym wzrokiem w tłącą się żółtym światłem żarówkę.

- Są przerażający - w głosie Trybusa dało się wyczuć niepokój - te ich nieobecne oczy...

- Mówili coś? - zapytał Wysocki wyciągając z szuflady biurka dwie pary gumowych rękawiczek, jedną z nich zakładając a drugą podając porucznikowi.

- Bełkotali coś niezrozumiale, nic konkretnego - odpowiedział biorąc z szafki gumowe pałki.

- Pora na przesłuchanie. Dowiedzmy się czegoś - stwierdził Wysocki przygotowując się do dobrze znanego sobie rytuału.

Weszli do sali przesłuchań. Stojąc w bezpiecznej odległości przyglądali się kreaturom, czasem tylko poszturchując je policyjną pałką, aby sprowokować jakąś reakcję. Zakazony klęczący po lewej stronie opuścił głowę i utkwiał wzrok w podłodze, zupełnie nie zwracając uwagi na funkcjonariuszy.

- Poruczniku, proszę nadać naszemu przesłuchaniu nieco szybszy bieg - Jan zwrócił się ironicznie do kolegi.

Trybus podszedł do klęczącej postaci, poprawił rękawiczki, zacisnął dłonie na gumowej pałce i przybrał pozycję przypominającą postawę bejsbolisty szykującego się do najważniejszego uderzenia w swoim życiu. Siła potężnego ciosu rzuciła ciało o ścianę a krew pozostawiła świeże ślady, które dołączyły do tych już istniejących.

- Chyba trochę przesadziłeś poruczniku. Obawiam się, że on niczego nam już dzisiaj nie powie - stwierdził Wysocki patrząc na przetrącony nos i krwawą szramę na policzku ozdobioną fragmentami obszarpanej tkanki rozciętej przez zęby.

Zarażony wił się po ziemi wyginając ciało w dziwacznych pozach, wydając przy tym odgłosy przypominające skowyt wilka i płacz dziecka jednocześnie. Po chwili jednak powrócił do poprzedniej, klęczącej pozycji i wlepiając puste ślepią w porucznika mruczał coś pod nosem. Na oczach policjantów tkanki jego twarzy zupełnie się zrosły przechodząc metamorfozę z krwawej, rozdartej miazgi do dawnej postaci.

Wysocki w furii rzucił się na skutego łańcuchami osobnika i trzymając go za włosy wykrzyczał - Kim wy kurwa jesteście?

Usta zainfekowanego rozwarły się do nienaturalnych rozmiarów ukazując czarną otchłań gardła wypełnioną larwami białych robaków, pijawek i wijących się glist, udekorowaną szpiczastymi kryształowo białymi zębami. Z krtani wydobył się chrypiący głos przesiąknięty fetorem zgniłego mięsa.

Dwóm moim Świadkom dam władzę przez tysiąc dwieście sześćdziesiąt dni. Oni są dwoma drzewami oliwnymi i dwoma świecznikami, co stoją przed Panem ziemi. A jeśli kto chce ich skrzywdzić, ogień wychodzi z ich ust i pożera ich wrogów. Mają oni władzę by wszelką plagą uderzyć ziemię, ilekroć

zechcą.

Policjantów zaskoczyła para wydobywająca się z ich ust, efekt niskiej temperatury, która nagle ogarnęła całe pomieszczenie. Weneckie lustro zaczęło porastać szronem finezyjnie utkanym w przepiękne wzory, jakie tylko natura potrafi wykonać w mroźne zimowe noce. Wysocki spoglądał to na Trybusa, to na malujące się na zwierciadle misterne obrazy, wreszcie nie wytrzymując napięcia wyszedł z pokoju przesłuchań trzaskając drzwiami. W ślad za nim podążył porucznik.

- Kogoś ty mi tu przyprowadził? - na twarzy komisarza pojawiła się złość.

- Sami przyleźli twierdząc, że są jakimiś zasranymi prorokami - odpowiedział przerażony Trybus - gadali dziwnym językiem, jakby z Biblii, że ten wirus to ich sprawka.

- Niech to szlag trafi. On mówił zupełnie nie poruszając ustami, sam zresztą widziałeś. Wracamy z powrotem - oznajmił Wysocki.

- Czy zauważyłeś, co było na lustrze? - zapytał porucznik.

- Trzy szóstki - znak bestii. Próbują nas wystraszyć tanimi sztuczkami. Zaraz dobierzemy im się do dupy. Przynieś walizkę ze sprzętem - rozkazał Jan wracając do pomieszczenia przesłuchań.

Wysocki zastał ich klęczących na ziemi z rękami złożonymi na klatkach piersiowych i spokojnymi wyrazami twarzy. Zaskoczyły go skute lodem ściany pomieszczenia i temperatura sięgająca zapewne kilku stopni poniżej zera. Podszedł do jednego z zakażonych na odległość kilkunastu centymetrów i spojrzał w jego oczy mając nadzieję, że dostrzeże w nich choćby namiastkę emocji. Biała jak mąka skóra twarzy z czarnymi jak węgiel oczami zupełnie pozbawionymi źrenic poprzecinana była jasnozielonymi meandrami żył. Można by zaryzykować stwierdzenie, że byli piękni mimo budzącego strach i przerażenie nienaturalnego wyglądu.

Po chwili pojawił się Stefan ze sporych rozmiarów czarną walizką. Rzucił ją na stół i otworzył, ukazując przedmioty o dziwnych kształtach przypominające narzędzia tortur, których nie powstydziałaby się średniowieczna inkwizycja. Wysocki pogrzebał chwilę w walizce i wyciągnął coś na kształt sekatora.

- Czy wiesz, co można tym obciąć? - zapytał zakładając narzędzie na dłoń kreatury. - Powiadasz zatem, że przysłał cię Bóg. Możliwe... Tylko po co? - mimo gróźb pytania pozostały bez odpowiedzi. - Mów!, albo poczujesz, co potrafi ta maszynka - z coraz większą złością krzyczał Jan. Ofiara pozostawała niewzruszona, zupełnie nieobecna, na jej twarzy nie było śladu emocji, jakby przebywała w jakimś innym miejscu. Cierpliwość komisarza wyczerpała się. Nacisnął na długie ramiona sekatora, chrzęst łamanych kości wypełnił pomieszczenie i dłoń zakażonego opadła na podłogę. Krew tłoczona tętnicami w rytmie pulsu wylewała się z nadgarstka tworząc sporej wielkości kałużę. Jasna twarz uwięzionego nawet nie drgnęła, i mimo, że nie poruszał ustami z wnętrza gardła rozległ się tubowy głos.

Jam jest prorok Pana przybyły, aby oczyścić ziemię ze wszelkiego plugastwa.

Imię me to Jeździec, strażnik siedmiu pieczęci, siedmiu trąb i siedmiu czasz.

Pokłoń się przed gniewem nieuniknionego.

Zarażony podniósł krwawiący kikut ręki na wysokość twarzy i przyglądał się skomplikowanemu układowi połączeń nerwów, żył, kości i skóry. Niczym roślina kiełkująca z nasiona i strzelająca zielonymi pędami w ciepły letni poranek kończyzna zaczęła odrastać od nadgarstka, śródrezcza, palców a kończąc na paznokciach. Policjanci stali nie mogąc wyjść z podziwu i przełykając głośno ślinę przyglądali się odtworzonej dłoni. Komisarz wpadł w furję. Odpiął kaburę i wyciągnął pistolet kierując lufę prosto w czoło zakażonego.

- Zaraz ci kurwa pokażę, kto przed kim będzie się kłaniał - wykrzyczał odbezpieczając broń.

- A z dymu wyszła szarańcza na ziemię, i dano jej moc, jaką mają ziemskie skorpiony - odpowiedział prorok patrząc prosto w oczy Wysockiego.

- Nie mów do mnie tymi pieprzonymi wersami. Czy wydaje ci się, że przynosisz koniec świata proroku? - zapytał wściekły Wysocki wciskając lufę w czoło klęczącego.

Drugi zakazony podniósł pokornie głowę i odpowiedział - Czy nie widzisz, że koniec się dzieje.

- Co przez to rozumiesz? - zapytał porucznik Trybus.

- Wojny, głód, kataklizmy, zaraza - czy to mało? - prorok wypowiedziawszy te słowa spuścił wzrok i wpatrując się w podłogę przybrał nieobecny wyraz twarzy.

Nagle drzwi pokoju przesłuchań otworzyły się z łoskotem i do środka wpadł mocno przestraszony kapral Świeboda. Gestykulował coś nie mogąc złapać oddechu, po chwili jednak doszedłszy do siebie wykrztusił łamanym głosem - Idą tu zakażeni... są w mieście... zaraz tu będą.

- Przygotujcie się do odparcia szturm - rozkazał komisarz - my już kończymy.

- Tak jest - odpowiedział trzęsąc się kapral. Odwrócił się i wyszedł pośpiesznie.

- Może powinniśmy uciekać? Jeśli wszyscy zakażeni mają takie zdolności jak ci tutaj, to nie mamy szans. Jest nas tak niewielu - stwierdził pełen wątpliwości Trybus. - Zresztą ja mam już pełne gacie.

- Nigdzie nie będziemy uciekać - z furią zaprotestował Wysocki. Zwrócił lufę pistoletu w kierunku czoła proroka i zapytał - Jak można was powstrzymać, zabić? Odpowiadaj, inaczej nafaszeruję cię ołowiem.

- Wyginie trzecia część ziemi. Wszystko jest gotowe na przyjście Baranka - odpowiedział zakazony.

- Dosyć, nie będę tego słuchał - Jan odsunął się krok do tyłu i oddał kilka strzałów prosto w głowę zakażonego.

Kolejne kule przeszły przez mózg ofiary wyrzucając przy każdym strzale mięsiste krwawe strzępy. Komisarz zakrył twarz ręką osłaniając się przed bryzgającą na wszystkie strony czerwoną posoką. Klęczący korpus z fragmentami czaszki wyglądającej jak szwajcarski ser bezwładnie opadł na podłogę. Wysocki mimo rozlegającego się chrzęstu pustego zamka pistoletu wciąż naciskał na spust. Jego wściekłość nie znajdowała ujścia, sięgnął w furii do kabury porucznika Trybusa, wyciągnął broń, wymierzył w drugiego zarażonego i oddał kolejne salwy.

- Przestań. Oni już nie żyją - Stefan uspokajał komisarza zastanawiając się, czy aby Wysocki nie postradał zmysłów.

Jan opuścił broń a martwe ciało drugiego zarażonego osunęło się na ziemię układając niczym dziecko w łonie matki, w pozycji embrionalnej.

- Uspokój się. Zachowaj siły na tych na zewnątrz - stwierdził wyciągając z rąk Wysockiego swój pistolet.

- Przepraszam. Poniosło mnie - komisarz wysyczał przez zaciśnięte zęby wychodząc z pokoju.

Porucznik stał chwilę i spoglądając na martwe ciała zastanawiał się jak wiele przesłuchań skończyło się w podobny sposób. Po chwili dał jednak za wygraną mając w pamięci informację kaprala Świebody o hordach kreatur atakujących komisariat. Klęknął nad ciałem jednego z proroków i chcąc się upewnić, że nie żyje, przyłożył dwa palce do tchawicy. Nie zdążył się zorientować, gdy martwa postać błyskawicznie podniosła się z ziemi i śnieżnobiałe zęby wtopiły się w jego szyję. Sycząc z bólu odskoczył w kąt i usiadł skulony na podłodze w panice obserwując proroków, którzy niczym feniks wstający z popiołów przechodzili metamorfozę, odzyskując dawne postacie. Podczas przemiany ich ręce i nogi stały się na krótką chwilę bardzo długie i cienkie tak, że bez problemu mogli uwolnić je z krępujących metalowych więzów. Porucznik nie zdążył jeszcze otrząsnąć się z tego, co wydarzyło się przed chwilą, gdy przed jego obliczem wyrosły dwie olbrzymie postacie. Stali w blasku i niczym królowie śmierci spoglądali na przerażonego Trybusa.

- Co mi zrobiliście? - wydukał zbierając się na odwagę.

- Zostałeś uwolniony z więzienia twojego ciała - odrzekł jeden z proroków.

- Jak to? - zapytał przerażony trzymając się za krwawiącą ranę szyi.

- Twoje ciało przestanie się psuć a skóra nabierze dawnego blasku. Przestaniesz wydzielać fetor zgnilizny, w twe oczy wróci życie i zaczniesz odczuwać potrzebę wyswobodzenia swoich współtowarzyszy z niewoli ich rozkładających się ciał i umysłów. Dla swoich przyjaciół staniesz się

bestią, jednak ludzkość musi zostać oczyszczona z toczącej ją od wieków zarazy, dlatego będziesz narzędziem w naszych rękach. Nie wszyscy zostaną ocaleni, wiele istnień zginie.

- Zamienię się w jednego z zarażonych? - z coraz większym przerażeniem dopytywał porucznik. - Co stanie się z moim ciałem?

- Dołączysz do wybranych. Nie od razu uwolnisz się od dawnego wyglądu, to powolny proces, każdego dnia będziesz mógł obserwować powracające do zdrowia komórki odradzającego się organizmu. Wkrótce staniesz gotowy na sąd Baranka.

Porucznik zwinął się na podłodze w kłębek i sądząc, że postradał zmysły głośno szlochał, nie mogąc uwierzyć w słowa proroków.

Dwóch aniołów zemsty otoczonych jasną poświatą sunęło przez komisariat jakby unosząc się w powietrzu.

Uzbrojeni w karabiny maszynowe, granaty i pistolety policjanci oczekiwali przybycia zakażonych, którzy jak wieść niosła dotarli już do centrum Lublina i niczym dżuma rozlewali się w kolejne zakątki miasta. Wysocki wyposażony w ogromny, długolufowy XM8 mogący oddać siedemset dwadzieścia strzałów na minutę czuł się bezpiecznie i komfortowo. Dyrygując swoimi podwładnymi organizował zasieki mogące ułatwić obronę przed atakiem potworów.

Kątem oka w głębi korytarza Jan dostrzegł światło. Chwilę potem ukazały się dwie dumnie kroczące postacie.

- Oni żyją, zabić ich! Ognia! - rozkazał Wysocki sam stając szeroko na nogach i kierując lufę karabinu w stronę nadchodzących lśniących sylwetek. Zewsząd posypał się grad kul a huk kanonady sprawiał wrażenie jakby niebo waliło się na głowę.

Idące przed siebie świetliste figury za nic miały ogromną siłę ognia, jaką otworzyli przeciwko nim funkcjonariusze. Komisarz strzelał seriami z XM8 obserwując jak kule przechodzą przez ciała zakażonych zostawiając rozległe krwawe rany, które chwilę potem zasklepiają się.

Policjanci dwoili się i troili chcąc zatrzymać majestatycznie kroczących proroków, jednak ich próby odnosiły mizerny skutek, co gorsza atakujący zaczęli ponosić pierwsze straty. Zarażeni wykonali w powietrzu gest, po którym wystrzelili z rąk niewidzialną siłą w kierunku najbliższych stojących policjantów, których głowy eksplodowały rozrzucając z wielką mocą fragmenty mózgu, oczu i kości po całym pokoju. Ciągły ogień kul rozgrzewający lufy karabinów do czerwoności, nie był w stanie zatrzymać napierających aniołów zemsty rozdających śmierć przy każdym geście.

- Wycofujemy się na zewnątrz! - rozkazał Wysocki widząc bezradność swoich podwładnych, a sam starając się odciągnąć proroków w głąb komisariatu.

Uciekającym policjantom drogę zagroziła horda zbliżających się zakażonych, którzy opanowali już większą część miasta i do zdobycia pozostały im już tylko mniejsze uliczki i przedmiejskie budynki Lublina.

Komisarz pozostał wewnątrz postanawiając stawić czoła niezniszczalnej dwójce i chroniąc tym samym współpracowników. Zupełnie jednak nie miał pomysłu, w jaki sposób powstrzymać proroków. Rzucił pozbawioną amunicji broń na podłogę i stojąc biernie z założonymi rękoma oczekiwał na rozwój sytuacji.

- Zabijcie mnie, jeśli chcecie - stwierdził z rezygnacją.

- To byłoby zbyt proste - powiedział jeden z nich przykładając białą dłoń do twarzy Jana. - Idź ślepcze błądzić wśród ślepych. - Nie zdążył dokończyć, kiedy ciało komisarza osunęło się bezwładnie na ziemię.

Grupka policjantów wpadła w panikę i widząc, że z jednej strony są otoczeni przez nacierających zakażonych z drugiej proroków wychodzących z komisariatu zaczęła bezładnie strzelać we wszystkich kierunkach.

Porucznik Trybus resztkami sił opuścił pokój przesłuchań i ledwie snując się na nogach, podążał tropem odgłosu strzałów i krwawych śladów pozostawionych po niedawnej strzelaninie. Dotarł do pomieszczenia, w którym odnalazł chaotycznie porozrzucone fragmenty mięsnych ochłapów i

bezglowych korpusów. Nie próbował nawet zidentyfikować leżących naokoło ciał, gdyż jego uwagę zwrócił niesamowity widok rozgrywający się na zewnątrz komisariatu. Dwójka jeszcze niedawno uwięzionych i skutych łańcuchami proroków stała na ulicy. Nad nimi rozstępowało się niebo, tworząc olbrzymich rozmiarów wir sięgający wysoko w górę i wsysający w siebie gęstą, mglistą zawiesinę od lat zatruwającą powietrze. Przejśniało się, wieczny mrok panujący nad miastem powoli ustępował miejsca wyglądającemu spoza chmur słońcu. Grupka funkcjonariuszy zasłaniając oczy z niedowierzaniem patrzyła na znane sobie jedynie z opowieści czyste niebo ozdobione przepływającymi z rzadka błękitnymi obłokami i dziwnym palącym ciałem żółtym kręgiem.

- Bracia moi - odezwał się jeden z proroków do zgromadzonych wokół zarażonych, wskazując palcem na przerażonych i wystraszonych funkcjonariuszy - ocalcie tę garstkę grzeszników zanim ich ciała spalą się w blasku słońca a ich oczy na wieki ogarnie ciemność. Przygotujcie ich na sąd Pański.

Tylko odległy krzyk wyzwolonych dobiegł echem do małej uliczki, gdzie leniwie dogasał palący się w beczce po ropie wątyły płomień. Obok żerowały na zwłokach małe dziecięce hieny chleptające łapczywie jeszcze ciepłą krew z otwartej rany na brzuchu martwej ofiary. Ostre ząbki wbiły się w krtań i wyrwały kawał mięsa, który został szybko połknięty, aby zwolnić przełyk na kolejny łakomy kąsek. Wiecznie głodne i niezaspokojone istoty w kilkanaście minut zeżrą swoją zdobycz zostawiając tylko to, czego nie da się zjeść. Nie oszczędzą nawet skórzanego płaszcza i przepaski, które w ciężkich czasach pozwolą przeżyć choćby kilka godzin tak niezbędnych dla odnalezienia kolejnej porcji pożywienia. Niemym świadkiem uczty pozostawało tylko małe radio, z którego wydobywał się szumiący i ledwie słyszalny głos spikera ogłaszającego kolejną wiadomość.

Zakażeni dotarli już do Warszawy i w zastraszającym tempie zdobywają kolejne dzielnice miasta. Przerażeni mieszkańcy chcąc uniknąć śmiertelnego wirusa w akcie rozpaczony popełniają zbiorowe samobójstwa. Sytuacja jest beznadziejna... Nie wiem jak długo zdołam jeszcze przekazywać państwu kolejne relacje...

- W opowiadaniu wykorzystano fragmenty Ewangelii według Świętego Jana.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

qła, dodano 25.08.2008 11:20

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.